

Mistrzowie Negocjacji znad Wisły, a Amerykanie

18 grudnia 2009

Polacy nie potrafią negocjować z dwoma państwami – Stanami Zjednoczonymi i Rosją. Pierwsi ogrywają nas przy pomocy zaschniętej marchewki, a drudzy używają kija. Premier Tusk i minister spraw zagranicznych Sikorski, wydają się tego nie zauważać, do obrony stosunków polsko-amerykańskich posługując się głównie PRem. Rząd kompletnie nie radzi sobie też z rozmowami z Rosjanami np. w kwestiach gazowych. Z drugiej strony mamy prezydenta, któremu przez cały czas wydaje się, że jest Rycerzem Okrągłego Stołu, który niesie dziejową sprawiedliwość. Jego brat i lider polskiej opozycji uważa, że tylko Stany Zjednoczone mogą nas uchronić przed niebezpieczeństwem, które prawdopodobnie w XXI wieku już nie istnieje.

Niedobrze – jakby mógł rzec Marcin Najman po kilku sekundach walki z Mariuszem Pudzianowskim. O ile do stylu uprawiania polskiej polityki zagranicznej nie można mieć pretensji, bo wygląda profesjonalnie, o tyle jej wyniki wymagają poprawki. Polski rząd zdaje na razie egzamin z funkcjonowania w Unii Europejskiej, ale siłę będziemy mieć dopiero wtedy, gdy uda się przekonać, że nasze bezpieczeństwo energetyczne jest bezpieczeństwem energetycznym UE. Obecny rząd większą wagę przykładą do polityki wewnątrz Europy, za co należą mu się pochwały. Partycypujemy w podziale stanowisk, jesteśmy w „europejskiej grze”, a nawet potrafimy zablokować niekorzystne dla nas rozwiązania, jak w przypadku zmniejszenia emisji CO2.

Nie wszędzie jednak jest tak kolorowo. W kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi nastawieni jesteśmy na altruistyczne dawanie, a premier Tusk z prezydentem Kaczyńskim, zgodnie jak nigdy, wysyłają kolejnych polskich żołnierzy do Afganistanu, wydając kolejne miliony złotych z naszej kieszeni. Problemem nie jest

samo wysłanie wojsk, ale fakt, iż w zamian otrzymujemy tyle, ile dałby nam ZSRR za czasów PRL-u – czyli deklaracje o pięknej przyjaźni. W końcu podpisano układ SOFA (Status of Forces Agreement), który ma regulować, na jakich zasadach będą stacjonować amerykańscy żołnierze w Polsce. Brakuje na razie terminów i konkretów. Polska utrzymała (a nie uzyskała) pierwszeństwo jurysdykcyjne, którego może się jednak zrzec. Skoro zapisano to w umowie, to można domniemywać, iż Polska będzie się w mniej ważnych kwestiach zrzekać tego prawa na korzyść strony amerykańskiej. Amerykanie otrzymali również przywileje podatkowe.

Wśród naszych polityków błyskawicznie powstała dyskusja – czy to dobra umowa, czy zła? Podział jest tradycyjny – koalicja uważa porozumienie za dobre, bo Polska utrzymała pierwszeństwo jurysdykcyjne, a opozycja – w tym BBN – za złe, gdyż spór o ten aspekt przedłużył rozmowy. Moim prywatnym faworytem jest Witold Waszczykowski, który prawdopodobnie za jak najszybsze porozumienie z Amerykanami oddałby duszę i jeszcze dopłacił. Ocena samego porozumienia nie może być sprowadzana do dwóch aspektów (jurysdykcji i przywilejów podatkowych). Na razie to jedynie porozumienie ramowe, dotyczące standardowych kwestii.

Dziwna wydaje się zbieżność przyspieszenia rozmów z decyzją o wysłaniu kolejnych żołnierzy do Afganistanu. Polacy są przez Amerykanów zwyczajnie wykorzystywani, a władze państwowe robią dobrą minę do złej gry. Uczciwie trzeba przyznać, że wysłanie żołnierzy to również zysk, bo wzmacnia naszą pozycję w NATO. Pozwala również na lepsze zabezpieczenie prowincji Ghazni, w której stacjonują nasi żołnierze. Polscy żołnierze nie jadą jednak na wycieczkę krajobrazową, a na regularną wojnę, o czym oficjalnie mówił ostatnio Sekretarz Obrony Stanów Zjednoczonych, Robert Gates. Jeżeli zdarzyłoby się, że w zamian za 600 polskich żołnierzy dostaliśmy jakieś drobne ustępstwa w kwestii Patriotów (np. że druga z rzędu Bateria stacjonująca rotacyjnie na ziemi polskiej, będzie uzbrojona) i układu SOFA, to byłaby to kompromitacja. Chyba, że nasi

politycy mają inny genialny plan. Skoro, według plotek, w prowincji Ghazni ukrywa się Osama bin Laden, to czemu go nie złapać? To dopiero były hit!

W Polsce zastanawiamy się nad tym, czy bateria Patriotów, zdolna do obrony obszaru wielkości powiatu, będzie uzbrojona, czy nie? Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, gdy – po pierwsze – i tak nie zwiększy ona polskiego bezpieczeństwa, a po drugie, obsługiwać będą ją i tak Amerykanie? Jeżeli chcemy mieć własne Patrioty to musimy je, podobnie jak np. Japończycy, kupić. Obecnie zatem problem tej baterii istnieje zupełnie równolegle do kwestii polskiego bezpieczeństwa. Minimalne ustępstwa amerykańskie, dotyczące uzbrojenia stacjonującej baterii nie poprawiają naszej sytuacji. Oczywiście, to wspaniale, jeśli polscy żołnierze zostaną przeszkoleni, jak funkcjonuje ten nowoczesny system i pod tym względem rotacyjne stacjonowanie Patriotów odbędzie się z korzyścią dla naszego wojska.

Koszty stacjonowania wojsk w Afganistanie są zatem niewspółmierne do zysków i nie rokuja pozytywnie. Łatwo można policzyć, że jeżeli – według najniższych danych – rok stacjonowania kosztuje Polskę 400 milionów złotych (nie licząc kosztu zakupu sprzętu), a najwyższych, sięgających łącznie miliarda złotych, to nie wysyłając takiej misji moglibyśmy sobie taką baterią po jakimś czasie kupić na własność. Żołnierze w Afganistanie nabędą bezcennego doświadczenia, ale Polska, podobnie jak w Iraku, nie otrzyma żadnych prezentów od swojego sojusznika. Tym dziwniejsze wydaje się, że polskie elity tak bezproblemowo przystają na kolejną amerykańską propozycję. Dlaczego Niemcy i Francuzi nie chcą zwiększyć swoich misji i wziąć odpowiedzialności za walkę z terroryzmem? U nich, ze względu na strukturę społeczeństwa, problem zagrożenia fundamentalizmem arabskim jest poważniejszy, niż w Polsce.

Naturalnie, nie jesteśmy Turcją, ani Izraelem, które mogą sobie pozwalać nieraz na bezzcelne zagrania wobec Stanów Zjednoczonych. Państwa te, często odmawiając spełniania życzeń

amerykańskich, osiągają swoje cele. Polska, pomimo tego, iż nie jest mocarstwem, posiada zasoby, które Amerykanom mogą się przydać. Utrzymując zatem stosowne proporcje, może trzeba czasem Amerykanom odmówić. Nawet po to, by w zamian za określone korzyści, później zmienić stanowisko. Dyplomacja między sojusznikami w XXI wieku nie opiera się na idealistycznych przesłankach. To gra interesów, w której niekiedy racja moralna może mieć znaczenie, ale z reguły jest tylko narzędziem (np. II wojna w Zatoce Perskiej). Nie odgrywamy wielkiego znaczenia w polityce światowej, ale w sojuszach możemy być istotnym ogniwem. Jeżeli nie będziemy się sami szanować, to kto będzie to robił?

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)